

ZOFIA GRZESIAK

## *Pajka* (fragment powieści)

W drugiej połowie września wczesny ranek był bardzo mglisty. Choć bezchmurne niebo zapowiadało ładną pogodę, czuło się chłód i wilgoć. Dookoła panowała cisza, tylko w niektórych obejsiach terkotały mędnice, choć jeszcze było zupełnie ciemno. Gospodynie śpiesząc się obdzierały paździoły z lnu, żeby tylko jak się rozwidni pójść w pole do kopania kartofli. Pomimo wojny robota w gospodarstwie musiała iść jak dawniej, zwłaszcza że na wsi o wojnie już nie mówiło się wcale.

Gdzie jest ta wojna lub gdzie jest ten front? O tym wiedzą tylko ci, co są piśmienni, ci, co czytają gazety.

Mużyk chleborob nie jest gramotny, gazet nie czyta. Mużyk, co nosi łykowe łapcie, musi jak przedtem orać, siać, obrządzać chudobę i robić wszelkie inne roboty, by z głodu nie zemrzeć, by siako-tako gospodarzę utrzymać.

Przy studni jak zwykle o porannej porze jazgoczą kobiety. Dopytują się jedna drugiej, czy dziedzic w tym roku będzie kopał kartofle za dniówkę czy na skrzynie, bo nie są pewne, jak to w ogóle będzie tej jesieni. Zawsze w tym czasie karbowy jeździł już na swej dwukółce po wsiach i gromkim głosem ogłaszał, w którym dniu zaczną się na pańskim polu kopania. Tej jesieni w ogóle się nie pokazał. Czy dziedzic się przestraszył wojny i uciekł gdzieś za granicę?

— Tyle tylko naszego zarobku było, co na pańskich wykopkach — odezwała się zatroskanym głosem Marta Prymaczka, wyciągając ze studni pełne drewniane wiadro z wodą.

— A tobie na co, Marto, zarobki? — spytała ją Bachniukowa Łucia z perkatym nosem. — Powinnaś się cieszyć, zanieść wielgachną woskową świecę do cerkwi i gorąco Bogu podziękować za to, że twój Juwchymko wrócił z frontu i jak słyszałam, nie z pustymi rękami, niemało dobra ci przyniósł. Po cholere ci jeszcze chodzić na zarobki! Powinnaś na klęczkach do cerkwi pójść i gorąco Mater Bożej podziękować, że nie musisz płakać jak moja siostra Łukiera, której męża zabrali, jak tylko w czternastym roku pierwsza wojna wybuchła i przepadł jak kamień w wodę, a Łukiera została ni to panna, ni to wdowa, aż się postarzała wyplakując za nim oczy i czekając na niego.

Choć już tyle lat minęło, a ona posiwiła i zgarbaciła, to wciąż czeka i myśli, że może on jednak żyje i wróci, by choć umrzeć na swoim. Może przykuśtyka, jak stary Chodej, by złożyć swoje kości na naszych mogiłkach.

— Powiadała mi kiedyś Łukiera — ciągnęła Bachniukowa Łucia — że on jej się często śni, że o kiju i żebraczej torbie wędruje od wsi do wsi i prosi o kawałek chleba. Łukiera myśli, że to nie sen, tylko jakieś widzenie, bo nieraz się zdarza, że nocą drzwi zaskrzypią, albo szyba w oknie zatarabani. Bywają czasem jeszcze inne znaki.

Marta Prymaczka słuchając mrużyła oczy jak syta kotka i uśmiechała się szczęśliwa. Stojąc z koromysłem w rękę, myślała: „Co mnie stara Łukiera obchodzi?” Ona cały czas się modliła, całe noce nie spała, tylko przenaświętą mater, Bożą Maryję błagała, by jej Juwchymko do niej wrócił, choćby nawet kaleką, by nie musiała wiecznie za nim swoich oczu wyplakiwać.

Przenajświętsza Mater Boża jej błagania wysłuchała i pomogła. Jak Juwchymko zobaczył, że Niemcy im depczą po piętach, że już są tuż-tuż, a polskie wojsko poszło w rozsypkę, rzucił karabin w kartoflisko, odpruł polskiego orzelka z czapki i w nogi. Zrozumiał, że dla niego już się wojaczka skończyła, że czas wracać do domu, bo gospodarka czeka. I jeszcze przyszło mu do głowy, że w drodze powrotnej warto zajrzeć do niektórych pańskich chat. Na pewno bogaci panowie, gdy uciekali przed frontem, wszystkiego w pośpiechu nie zabrali, a może będzie miał trochę szczęścia i coniebądź jeszcze znajdzie. I mu się poszczęściło. W ciepłych jeszcze posłaniach znalazł trochę babskich świecidełek, zaś w kuchni pod piecem blaszane pudełko, a w nim trochę mikołajewskich rubelków ze szczerzego złota. Było tam jeszcze dużo różności w tych opustoszałych domach, lecz byle czego dźwigać nie chciał.

Po chwili Marta Prymaczka zaczęła się chwalić. „Och, ile mój Juwchymko mi naopowiadał, jak mu było na froncie, jak po drodze spotkał takich, którzy mówili, że Niemcy Ukraińców lubią, że obiecują im ziemię przydzielić, może nawet rydniu Ukrainu. Widział też mój Juwchym, jak Niemcy Żydów i Polaków biją, a jemu tylko sprawdzili dokumenty i kazali iść do domu i jeszcze pokleпали po plecach i powiedzieli „gut Ukrainer солдат”. Ot i wrócił mój Juwchymko, i sława Bohu możemy znowu zabrać się do chozajstwa.”

W domu Marta Prymaczka z wielką radością, co ją aż roznosiła, nakładała na serdeczny palec pierścionelek z błyszczącym oczkiem, jak zielonkawa łąza, które świeciło niczym smolne łuczywo. Jeszcze kochany mąż jej przyniósł takie same złote kolczyki, których nałożyć nie mogła, bo nie miała przekłutych uszu. A gdyby nawet i miała, nosić by ich nie mogła, bo by wiejskie baby się śmiały. Krzyczałyby, że poczepiła dzindziałki na uszy i paraduje w nich, jak jaka polska pani na odpuście koło kościoła. I tak cieszy się tymi cacuszkami, przesypuje je z ręki do ręki i bawi się jak małe dziecko.

Przypomina sobie, jak o świcie Juwchymko zapukał do kleci<sup>1</sup> i zawołał: — Marto, otwieraj szybko, twój солдат wrócił z wojny i jeszcze fajny gościniec ci przyniósł.

Och, Hospodi Boże, jak nienawidziła swej komory, kiedy Juwchymko był na wojnie. Bała się położyć. Stargane myśli nie pozwalały zasnąć, noce jesienne były takie długie, a jakiś dziwny głos wciąż

<sup>1</sup> Komora, służąca za sypialnię.

podpowiadał: „Marto, twój Juwchymko już do ciebie nie wróci. Daremnie będziesz na niego czekała przez całe życie, boś z nim związana świętą przysięgą, bo batuszka wam ręce stułą związał w cerkwy, byś do końca życia była mu wierna, choćbyś musiała do samej śmierci na niego czekać. Aż się postarzejesz jak Łukiera, ni to panna, ni to wdowa, aż oślepniesz od łez, gdy jego młode ciało gdzieś już dawno robaki roztoczyły.”

Teraz dzięki Bogu i tobie Przenajświętsza Maryjo, po tych czarnych myślach ani śladu, tylko ogromna radość, która aż serce rozsadza. Wrócił Juwchymko, wrócił mąż, który osuszył moje łzy, wrócił gospodarz, co znowu zacznie gospodarzyć, a jego przybladłe policzki znowu pokraśnieją, gdy go odkarmię tłustym domowym jadłem, a jeszcze, gdy się wyśpi po wojennym trudzie, stanie się znowu takim, jakim był wtedy, kiedy z czerwonym kwiatkiem przyszytym do sukienego kaftana i nie w lukowych łapciach, tylko w skórzanych butach, z karakułową papachą na głowie jak doński Kozak przyjechał po mnie na Kreszczenie<sup>2</sup>, by zawieźć do ślubu.

Minęła miłośnica i zaraz po niej wielki post. I nadeszła wiosna, a za nią hir, że wkrótce zacznie się wojna, że młodych, zdrowych parobków będą brali do wojska. Ot, i skończyła się moja radość. Moje szczęście rozwiło się jak dym.

Teraz jestem znowu, sława Bohu, szczęśliwa. I przed tobą, Przenajświętsza Mater Boża, biję pokłony do samej ziemi w podzięcie, że sprowadziłaś mego Juwchymka żywego i zdrowego do domu i za to, że mi przyniósł piękny gościniec, którym nacieszyć się nie mogę. Za to, że mój Juwchymko wrócił, że nie będę tej zimy marzła w zimnej pościeli, przez to muszę pójść na pańskie pole, by zarobić pieniądze na kolorowe nici, by wyhaftować obrus do cerkwy, jak również koszulę dla mego Juwchymka, taką samusienką, jaką noszą mieszczanie.

„Mój Juwchymko jest wysoki i bardzo dorodny, jak tylko odrośnie mu czub, który na wojnie zgolili i gdy ubierze się, jak ubierali się kiedyś na Ukrainie, będzie z niego prawdziwy Kozak” — myślała Marta Prymaczka, wyglądając karbowego i martwiła się mocno, że nie przyjeżdża i nie ogłasza, jak co roku o tej porze, kiedy zaczną się na pańskim polu wykopki. A do tego jeszcze te głupie baby docinają, że ona już nie musi iść na zarobki, bo jej mąż wrócił z frontu do domu.

Na drugi dzień, gdy rano poszła po wodę, koło studni było jeszcze więcej kobiet i jeszcze głośniej trajkotały. Była pewna, że któraś z nich dowiedziała się, co z pańskimi wykopkami. Podbiegła tak szybko, że aż blaszane wiadra załaskotały, tak chciała się dowiedzieć, o czym te młodyce jazgoczą.

Tymczasem baby wcale nie rozmawiały o zarobkach, tylko okrzyki Stepamidę, żonę ogrodnikowego Aleksandra, co służył u Kości, siostrzeńca diakona, którego przezywali Panachyda. Ten siostrzeniec Panachydy przywiózł skądś taką czarną skrzynkę, co ludzkim głosem gada, gdy się nałoży takie coś na uszy można usłyszeć, że jakiś człowiek opowiada, co dzieje się na wojnie.

<sup>2</sup> Trzech Króli.

— A czy twój Aleksander słyszał, jak ten człowiek ze skrzynki gada? Opowiadaj prędzej, Stepanido — prosiły zdziwione baby, otwierając szeroko usta i żegnając się zamaszycie.

Stare baby, jak Sztekalowa Motra i jeszcze starsza od niej Kulina z niedowierzaniem kręciły głowami, pluły na boki i machały starymi dłońmi, jakby odganiały od siebie nieczystą siłę; podejrzewały, że to jakiś zły duch znajduje się w tej kamienicy, w której mieszkał Panachyda, a o której nikt nie pamięta, kto ją zbudował.

— Powiadali kiedyś — przypomina sobie stara Motra — że jeszcze za Szwedów jakiś pop zwariował i manaszkę<sup>3</sup> zniewolił. Archyrej go wyklął i z parafii wygnał.

— Może to żadna skrzynka, tylko dusza zwariowanego popa się po tym świecie tłucze — zamrugła kaprawymi oczami stara Sztekalicha, kładąc znak krzyża na piersiach.

— Oj, Motro, Motro! Jesteś już bardzo stara i głupia — przerwała jej nieśmiało Stepanida, żona ogrodnikowego Aleksandra, co służył za pokojowca, jak również za stangreta u Kości, siostrzeńca diakona.

— Mój Aleksander przynosi od Kości takie grubaśne książki — ciągnęła Stepanida tak podniecona, że aż jej chustka wraz z kimbałką<sup>4</sup> przekręciła się na bok — i całymi wieczorami je czyta. On już dobrze wie, co to za skrzynka.

— Może to gramofon — odezwało się kilka bab naraz. — A nie, jak ty Matro pleciesz, jakiś zły duch.

— Gdzie tam teraz złe duchy? Może dawno, dawno temu, takie rzeczy się zdarzały.

— Już po pierwszej wojnie, pamiętam — odezwała się Naścia Czemelita. — Miałam już wtedy jakich dwanaście років, a może i więcej. Wbiło mi się do głowy, jakby to było dzisiaj. Przyjechali wtedy jacyś ludzie, w takich spiczastych czapkach na głowach. Jeden z nich prowadził niedźwiedzia na sznurze, a drugi postawił u mego wujka na stole taką blaszaną trąbę pomalowaną na zielono. W tej trąbie coś krzychało ludzkim głosem: „Pożar, pożar” i coś jeszcze w niej grało i śpiewało, a ten niedźwiedź na dwóch łapach tańczył...

— Ja też pamiętam — wtrąciła się do rozmowy Ulita, nieślubna żona Stiopy, z przewiskiem Horodczanka. — A ten Żyd, co mieszkał po sąsiedzku, powiedział nam, że ta trąba nazywa się gramofon, że pod nią jest taka maszyna, gdy się pokręci korbką, wtedy ona gra.

Kobiety molestowały Stepanidę. Chciały się koniecznie dowiedzieć, co jeszcze mówił Aleksander, może się dowiedział, kiedy karbowy nareszcie przyjedzie lub gdzie by można kupić kolorowych nici do wyszywania?

— Kryworoty Żyd, od samych żniw się już wcale nie pokazuje i żaden inny onucznik nie przyjeżdża. A już skończyłam ostatnie pasemko — odezwała się zatroskanym głosem Marta Prymaczka.

Stepanida poprawiła chustkę na głowie i oparłszy się o cembrowinę, zadowolona, że tyle uwagi jej baby poświęcają, z wielkim namaszczeniem zaczęła opowiadać:

<sup>3</sup> Zakonnica.

<sup>4</sup> Krążek z gałganów, na którym męzkatki zawijają włosy pod czepcem.

— Mój Aleksander wrócił z pałacu, jak już prawie świtało, powiedział mi, że jego pan go odprawił. Przed północą wezwał go do siebie na pokoje i powiedział, że na razie nie będzie mu potrzebny. I mój jeszcze opowiadał, że siostrzeniec diakona Panachydy był jakiś taki bladziusiński i niemal się trząsał, aż mu zuchwie skakały, a jego żona, ta piękna Leonarda, tylko po cichu jęczała i płakała. Coś musi być w świecie nowego, tylko mój Aleksander nie wie co, bo coś musi być bardzo złe, skoro Kościa mu powiedział: „Alosza, już mi na razie nie będziesz potrzebny”.

— A jednak, gdy wychodziłam po wodę, mój Aleksander zamierzał mimo wszystko tam wrócić — ciągnęła Stepanida, stojąc nad wiadrami z wodą. — Uważa, że musi pójść chudobę nakarmić. Pan to pan, ale krowy nie mogą stać głodne.

Nagle przybiegła do studni stara Dziubycha i łapiąc powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody, krzyknęła: — Mołodyce, mam dla was wielką nowinę. Rano przysłałam jak każdego dnia o tej porze do chlewni, by krowy podoić. Zaszłam do kuchni, wszędzie drzwi pootwierane, tak że można bez żadnych przeszkód przechodzić z pokoju do pokoju. Wszędzie wielki nieład: szafy pootwierane, wszystkie ubrania pozabierane. Zajrzałam tu i tam, słucham, patrzę, ani pana, ani pani, gdzieś znikli. Nagle zauważyłam, że na stole stoi ta skrzynka, co mówi ludzkim głosem, a oni ją nazywali radywo, czy jak.... Weszłam śmiało do komnaty, nałożyłam słuchawki na uszy i myślę: „Posłucham, co też w tej skrzynce powiedzą”. Naraz usłyszałam, że ktoś mówi po naszymu, po ukraińsku: „Bracia, idziemy was wyzwolić z jarzma polskich panów. Dostyc długo zginaliście wasze plecy, służąc obcym panom”. Aż mnie zamroczyło, gdy to usłyszałam. Dal Boh, prysej Boh<sup>5</sup>, żeby tak świętej Pokrowy doczekała, że nie kłamie, że słyszałam każde słóweczko, które ktoś gromkim głosem bardzo wyraźnie wymawiał, tak jakby stał tuż przy mnie. Jeszcze nawet w tej chwili dzwonią mi w uszach, jakby cerkiewne dzwony.

Kobiety zbiły się w gromadkę i zaczęły pod wpływem tych niezwykłych wieści ochać i uchać, wprost ogłupiały ze zdziwienia.

— To znaczy, że nastał taki mamet — odezwała się Midora, która śpiewała w cerkiewnym chórze i zawsze pomagała matuszce w kuchni w czasie uroczystych świąt, kiedy do batuszki przyjeżdżali goście z różnych stron i mogła słuchać rozmów przy suto zastawionym stole. Do tego była nawet trochę obeznana z bukwami z Bukwara<sup>6</sup>. — To znaczy, że teraz nasz język ukraiński będzie władał w gminie — powiedziała Midora z wypiekami na twarzy.

— To już nie będziemy musieli czapkować przed byle jakim pisarczykiem, ani policjanta po rękach całować. To znaczy, że przyjdą nasi bracia z Ukrainy i pomogą nam naszą ziemię panom odebrać... Już nie będziemy musieli kopać kartofli na pańskim, na swoim będziemy gospodarować.

— A pewnie, że na swoim. Na własne uszy słyszałam, jak mówił

<sup>5</sup> Przysięgam Bogu — potoczna przysięga społeczności wiejskiej.

<sup>6</sup> Z elementarza.



Mołotok, czy jakiś Mołotow. Już sama nie wiem, ale jakoś tak, raz po raz powtarzał w naszym swojskim języku, że aż się rozplakałam z radości, gdy usłyszałam, że już nastanie dla nas lepsze życie.

— To znaczy, że pańskie kortofle należą do nas — zapiszczała któraś z cizby.

— No to mołodyce, nie stójcie tu po próznicy koło studni — zawołała chrapliwym głosem Motra. — Biegnijcie czym prędzej na pańskie pole.

— No pewnie — zachichotała Kulina. — Kto pierwszy, ten lepszy. — Nie dajmy się wyprzedzić Horodczanom. My też mamy takie same prawo jak oni — zachęcała smukła jak sosna, urodziwa Midora, do której niejednen parobek po kryjomu wdychał.

W tym dniu we wsi zahuczało jak w ulu. Ze wszystkich stron słycać było gromkie wołanie: „Bracia, swoboda. Teraz już nikt nam krzywdy nie robi. Wojska, które idą z Ukrainy, nie pozwolą byśmy cierpieli biedę jak dawniej”. Tylko Oliwszuk, który przez kilka lat za koleją sołtysował we wsi i często razem z wójtem i policjantami przy jednym stole siedział i razem z nimi popijał wódkę, przez okno patrzył i głową kręcił, po cichu sam do siebie szepcząc: „Poczekajcie, aż wam „bracia” ze wschodu przyniosą swobodę. Jeszcze ta swoboda wam bokiem wylizie. Jeszcze nieraz gorzkie łyżki wam się poleją z żalu za tymi polskimi panami, przed którymi niby plecy zginaliście. Poczekajcie jeszcze trochę, a zobaczycie jak wam się będzie żyło z tymi braćmi, co przyszli ze wschodu was wyzwalać”.

Tymczasem na ulicy nie cichł gwar. Wszyscy hołysze, jak Szmęjła, Krywonosy Charyton i wielu innych, co już od Bożego Narodzenia chleba nie mieli, jakby poszaleli, jak opętani biegali po całej wsi i krzyczeli: — Nie siedźcie po domach, chodźcie prędzej do bogaczy, do obszarników, odebrać przeklętym, co nam się należy. Oto, sława Bohu, nadeszła długo oczekiwana chwila. Wymarzona swoboda. Musimy zabrać wszystko, co naszą krwawą pracą zdobyto. Musimy zabrać wszystko, co nam tylko w ręce wpadnie. Hej, wstawajcie bracia chleboroby! Ktoś z cizby zaśpiewał na nutę rewolucyjnej pieśni: „Wstawaj, podnimaj się raboczy naród”. To widocznie Cwedor Stesik chciał się popisać swoim potężnym głosem. Do tego śpiewu dołączyły nawoływania ze wszystkich stron: — Jak swoboda, to swoboda. A echo powtarzało: swoboda, boda.

Nie wszyscy gospodarze we wsi, szczególnie ci bogatsi, podzielali ten entuzjazm. Woleli poczekać, zobaczyć co będzie dalej. Czy to naprawdę przyszli wyzwoliciele, czy może bolszewicka hołota, która jeszcze lepiej potrafi skórę zdzierać niż te polskie pany. Wiadomo, miarkowali, co pan, to pan. Lepszy taki pamieszczyk<sup>7</sup> niż ta hołota bolszewicka, która po rewolucji przyjechała bosa w zagrabionej karecie zaprzężonej w woły i wyciągała z komór, co tylko jej w ręce wpadło. Już lepszy jest obszarnik sąsiadujący przy naszym polu, u którego można i snop dorodnego żyta ściągnąć, i kopiec siana na swoją łąkę przerzucić, a od tych hołyszów, co przyszli, co dostaniesz? Chyba swojej biedy nam nie pożalują?

<sup>7</sup> Dziedzic.

— Oj, święta prawda — kiwali głowami ci, co pamiętali pierwszą wojnę światową i w zadumie powtarzali: — Co pan... to pan, a co muzyk, to muzyk. — Głównie ci gospodarze, co na własne oczy widzieli polsko-bolszewicką wojnę w dwudziestym roku.

Pałacyk diakowego Panachydy, w którym mieszkał jego siostrzeniec ze swoją piękną żoną Leonardą, był wprawdzie nieduży, lecz bardzo pięknie ozdobiony. Marmurowe kolumny podtrzymywały dach obszernej werandy, do tego dużo rzeźbionych głów świętych prawosławnych, które siostra diaka porozmieszczała na frontowych ścianach, by strzegły pałacyku od złych wypadków i nieszczęść. Otoczony pięknym parkiem z mnóstwem różnorodnych drzew i krzewów ozdobnych, jak również kwiatów mieniących się różnymi barwami, nie mówiąc już o szlachetnych gatunkach gruszy, jabłek, śliw, malin, porzeczek i agrestu, sprowadzonych przez siostrę diakona pannę Paulinę. Kochała swój sad nad życie i poświęcała mu każdą wolną chwilę.

Otóż w tym czasie zaroilo się w tym parku jak w uroczyste święto koło cerkwi. Niektórzy przyszli, by zobaczyć na własne oczy pokoje Konstantego, którego często widywali, jak przejeżdżał bryczuszką ozdobioną pozłacanymi okuciami, zaprzężoną w karego konia o lśniącej jak aksamit sierści, ze swoją żoną Leonardą, za którą pluli, bo uważali, że ta Poliaczka zmusza Kościę, by roztrwonil cały dorobek życia prawosławnej, prawie świętej Pauliny. Inni z kolei chcieli na własne uszy usłyszeć, co mówi się w tym radiu, bo nie wszystko, co głupia Dziubycha gada, może być prawdą. Wiadomo, baba, włos długi a rozum krótki. A jeszcze inni biegli pomyszkować po pokojach, może się uda co znaleźć, co się biednemu zawsze w gospodarce przyda. Kościa wprawdzie nie był taki bogaty jak okoliczni obszarnicy, ale zawsze na pewno pięknych rzeczy miał więcej niż niejednen bogacz we wsi.

Tylko Aleksander, pokojowiec Konstantego, patrzył na ten tłum z pogardą i wyższością. Był dumny, że Konstantyn, jego pan, jeszcze przed wybuchem wojny wpuszczał go do salonu, gdzie na stoliku stało radio i on razem z innymi gośćmi siedział na miękkiej kanapie obok pięknej jak z obrazka Leonardy i słuchał piosenek śpiewanych w Warszawie czy Kijowie. Tylko kiedy wychodził z pokoju, to wielmożny pan Konstanty, nakazywał mu: — Słuchaj Aliosza, jeżeli piśniesz komu słówko, że u mnie jest radio, to ci język urwę, bo mi zaraz wszyscy się zbiegną do sadu, podepczą kwiaty, powyłłukują okna, każdego wieczora będą się pchali jak na wesele.

Nieraz miał chętkę pochwalić się swej babie, że słucha muzyki razem z wielmożnym panem i z jego żoną, co jest piękniejsza niż anielica namalowana na świętym obrazie, ale skoro wielmożny zabronił, to zabronił. Wprawdzie nieraz złościł się na niego, że był hulaką, szalawidą, nie szanował ani nie szczenił ciotczynej pracy i już prawie cały jej majątek przepuścił na świecidełka, na babskie spódnice i na hulanki, ale przecież dobrze było u niego służyć.

A teraz koniec z tym. Kiedy tylko w radiu powiedziano, że ukraińska armia idzie wyzwalać swoich braci spod jarzma polskich panów, Kościa, siostrzeniec diakona Panachydy, wszystko, co uważał

za cenne, wpakował do wielkich skórzanych czemojdanów, dobrze je pozamykał i kazał swemu pokojowcowi powynosić do przedpokoju. Następnie przywołał go do kancelarii, w której pełno było wszędzie porozrzucanych papierzysk, ksiąg rachunkowych i innych ksiąg oprawnych w skórę z poślaczanymi brzegami. Za biurkiem siedział pan, blade jakby dopiero co wstał po wielkiej chorobie. Jak tylko Aleksander wszedł, Kościa, siostrzeniec diakona Panachydy, polecił mu usiąść i powiedział: — Aliosza! Ja wyjedź z żoną, wszystko tu zostaje. Zabrałem tylko najpotrzebniejsze rzeczy, gdyż jadę do rodziny, a ty Aliosza od czasu do czasu zajrzyj i przypilnuj, co się da upilnować, a jak Bóg mi pozwoli wrócić do domu i zastanę wszystko w ładzie, hojnie cię wynagrodzę. Dam ci kilka pięknych sztuk rasowego bydła i tego czerwonego buhaja, którego tak lubisz i na którego zawsze miałeś taką wielką ochotę. Choć siostrzeniec diakona Panachydy starał się mówić spokojnie, Aleksander widział, że jego wielmożny tylko udaje, a tak naprawdę jest bardzo wzburzony i wcale nie jedzie do rodziny, jak twierdzi, tylko ucieka gdzieś za granicę na zawsze.

Po chwili Aleksander spytał: — Czemu się wielmożny pan nie cieszy, że do nas idą bracia z Ukrainy, że może z Bożą pomocą car batiuszka wróci na tron? Ludzie powiadają, że car batiuszka żyje i jest zdrow. Mieszka w Hanglii i czeka tylko sposobnej chwili, by wrócić i znów objąć całą Rosję pod swoje władanie.

— Jaki tam car, durniu — wrzasnął Kościa, jakby go giez ugryzł i plunął na podłogę jak zwyczajny muzyk. — Bolszewicy idą, durniu jeden, a nie żaden car. Taku ich i twoja mać. Jaki tam car, jaka tam Rosja. Jakie tam bracia Ukraińcy idą? Idzie z Kijowa czerwona zaraza, ze swoim głodem, ze swoimi kołchozami, a wy ciemnota się cieszyacie, że was wyzwolą! — wrzeszczał. Ale potem, jak się nieco uspokoił, już cichym głosem dodał: — Mam jedną nadzieję, że bolszewicy, ta czerwona zaraza co bezczęści wszystko, co święte i opluwa swym jadem naszą świętą wiarę, naszą cerkiew, długo tu nie zagrzeje miejsca, że my ich z boską pomocą wygonimy, jak w dwudziestym roku. Pamiętasz, Aliosza?

Krzyczał znowu i szastał się po pokoju jak opętany. Potem kazał zaprząć najlepszą parę koni, kufry pozanosić na mocno okuty wóz, a sam siadł na koźle, lejce w ręce i wio.

Pokojowiec Aleksander długo stał nieruchomo i patrzył za swoim wielmożnym, a lzy jak groch lały się po jego twarzy. Był pewien, że już nigdy nie zobaczy swego pana i już nigdy z nikim nie będzie jeździł na bale, ani pijał takie dobre wina i jadał takie mięsniwa jak nieraz po kuchniach u wielmożów.

Tymczasem łążą ludziska po pokojach, plują na błyszczące posadzki, przeglądają się w wielgachnych lustrach w złożonych ramach, depczą jesienne kwiaty na rabatach i cieszą się ze swojskiej mowy, płynącej z radia, co tak ciepło, tak łatwo wpada w ucho.

Gdy spiker skończył uroczystą mowę i zaczęła się skoczna muzyka, niektórzy zaczęli głośno roztrząsać, zastanawiać się, ponieważ nie wszyscy byli pewni, czy to rzeczywiście idą bracia wyzwalać spod jarzma polskich panów, czy może to jakaś banda, co w czasie

wojennej zawieruchy podszyla się pod ukraińską armię i tumani głupich ludzi? A jeszcze inni, tacy jak Łukjaszko, żałują, że nie wszedł Germaniec, którego oczekiwali, gdyż chcieli zobaczyć na własne oczy, jak on gospodarzy. A jeszcze inni zaczęli dopytywać Aleksandra: — Powiedz no, Aliosza, gdzie się podział twój pan? Dlaczego uciekł? Przecież nie Polak z niego, tylko nasz prawosławny brat, w dodatku pochodzi z duchownej rodziny, a jego ciotka Paulina była spokrewniona z samym władką. Dlaczego uciekł, skoro już nie będzie nami władać Polska maczucha<sup>8</sup>, tylko nasza prawosławna atamańska władca?

Tedor Kostyra, Zapewajłem zwany, bo najpiękniej śpiewał ukraińskie dumki, najbardziej był przekonany, że nareszcie mati rydna zapanuje nad szerokimi przestrzeniami aż po Don. Podniecony, aż płakał z radości. Zalewając się łzami podniósł głowę i gromkim głosem zaśpiewał: „Hej na horyć tam żency żnut, a po pid horoju Kozaki idut”.

Minęło kilka dni. Na niebie ani jednej chmurki. Babie lato snuje się po ścierniskach. Z pola ciągnie dym. Gospodynie palą lenty na kartofliskach, by dzieci mogły sobie upiec ziemniaków. Mołodyce krzątają się po polach przeważnie same. Ich mężowie porozbiegali się po obszarnczych pałacach, by zobaczyć co tam się dzieje i posłuchać co ludzie gadają, a gadają różnie, czasem radość aż serce rozpiera, a czasem i strach ściska za gardło.

Po bezchmurnym niebie niemieckie samoloty piszą zygzagi, przestraszeni ludziska uciekają z centralnej Polski, a tu na miejscu wcale nie ma wojny. Niemieckie samoloty niebieskim dymkiem popiszą na jasnym niebie jakieś smugi i lecą dalej nie krzywdząc nikogo. Tylko ci, co uciekają z Warszawy czy skądś, chowają się jak przestraszone zające i wołają: „Ludzie, chowajcie się! Zaraz Niemiec zacznie bomby na was rzucać!”

„Ej tam, bomby zacznie Niemiec rzucać. Czy on taki głupi, żeby muzycką chatę rozwalać?”

Ogólnie na wsi panuje jakiś niebywały nastrój. Z każdej niemal chaty ktoś wybiega, czegoś szuka lub oczekuje tych braci, co idą wyzwalać. Zastanawiają się: przyjdą, nie przyjdą, bo jak na razie żadnej władzy nie ma. Polska odeszła, wyzwoliciele jeszcze nie przyszli, słowem bezwładzie, ale póki co, niektórzy zbierają się i radzą, jak to pański majątek podzielić, by się nikomu krzywda nie stała. Uważają, że taki gospodarz jak Tymoszka powinien dostać dobry kawał ziemi, kilka sztuk rasowego bydła. On tego dobra nie zmarnuje, a taki torbotrus, taki łachmita jak Szmojła, jemu byle jaki kawałek pola, bo nie umie gospodarzyć. Leń z niego, tylko na piecu się wyleguje, a na jego ojcowiznie, zamiast zboża, bodiaki i różne chwasty rosną.

Tymczasem odważni, tacy jak Michej lub Popaszyn już mają pełne komory zapakowane obszarnczym dobrem. Na strychach, na klepiskach, w stodole walają się obrazy w złotych ramach, błyszczące jak lustra. Oplecione złotymi warkoczami miękkie kanapy, na

<sup>8</sup> Macocha.



których, gdy się siada, to się zdaje, że człowiek siadł na miękkiej puchowej poduszce. Nawet w chlewie, na gnojowisku u głupiego Jewela wala się mnóstwo cennych ksiąg oprawnych w drogocenną skórę. Gdy Popacz go zapytał: „Jewel, po co ci te grubachne księgi, ty przecież czytać nie umiesz?“, ten odparł: „Skóra na czoboty się przyda, a lalkami<sup>9</sup> dzieciśka się pobawią albo baba do ściany przyklei, jak się jej jakaś lalka spodoba”.

Nad brzegiem rzeki siedział stary Andron i opowiadał swemu wnukowi, jak to w dwudziestym roku, tu na tym mostku, tylko że wtedy był to most jeszcze mikołajewski, na potężnych filarach, wywiązała się wielka bitwa między Polakami a bolszewikami. Jedni stali po tej stronie, to znaczy od lasu, a drudzy po tamtej od Wielichowa. Och Boże, jak zaczęli o świcie prażyć ogniem, a kulomioty bez ustanku tylko tra-ta-ta, a potem krzyknęli „hurra” i na bagnety z bliska.

A jak się szepili razem, to już nie było wiadomo po czyjej stronie jest przewaga, tylko krzyk, jęk, a woda w rzece aż była czerwona od krwi, a ta cała bitwa odbyła się na tym wielkim moście, który został spalony przez odstępujących bolszewików.

No i polskie wojsko wygrało. Bolszewicy wrócili, skąd przyszli, skończyła się polsko-bolszewicka wojna, skończyła się ta niby swoboda, że każdy jeden mógł pójść do pałacu, w którym mieszkał wielmożny i brać, co mu tylko w ręce wpadło. Skończyło się śpiewanie: „Wstawaj, podnimajśa raboczy narod” i stało się to, co stać się musiało. Trzeba było te rasowe krówki z powrotem do pańskiej obory zagnać i te księgi do pałacu pozanosić. No i zaczęła pletnia gwizdać, tak zaczęła żandarmeria nauczać naszych boskiego przykazania: nie kradnij.

— Mnie też wtedy żandarmska pletnia kilka razy liznęła — ciągnął Andron — choć na nią nie zasłużyłem, bo ani razu nie byłem w pałacu. Woląłem wypłynąć czółnem na jezioro, zarzucić sieci i nałapać trochę szczupaków, by stara smaczniejszej juszki nagotowała. Ale ktoś na złość czy przez pomyłkę na moje podwórko miedziany kocioł wrzucił. Leżał sobie ten kocioł pod strzechą, a mnie ani w głowie postać, co z nim będę robił. A gdy go znaleźli, to znaczyło, że też byłem u wielmożnego i też jego majątek rozciągałem, jak wszyscy inni. A jak jest wina, to musi też być i kara. I wtedy to bezwinnie kilka pletni dostałem. Mówię ci Łukaszk, że ja naprawdę tego miedzianego kotła wielmożnemu nie ukradłem, bo ja zawsze pamiętałem, co nasz batuszka w swoim kazaniu mówił: „Jak okradasz wielmożnego, to taki sam grzech, jakbyś okradał naszą świętą cerkiew. Za jedno i za drugie jest taka sama pokuta”. Nakazuję ci Łukaszk, byś nigdzie nie szedł i nie brał cudzego, zwłaszcza dzisiaj, kiedy wszyscy hurtem łapią cudze — kończył, zapinając mikołajewski pas z dwugłowym orłem.

Wnuk starego Androna nie słuchał. Co innego miał w głowie. Wkrótce miał się ożenić. Gospodarskiej córce trzeba było coś zdobyć, a gdzie jak nie w bogatym pałacu? Może by się jakaś puchowa

<sup>9</sup> Ryciny.

poducha znalazła? Przecież wielmożni panowie nie śpią na grochownach. A może by jeszcze coś lepszego się trafiło?

— Gdybyś był dziadku młodszy i nie taki głupi, to byś tak nie skrzeczał, tylko poszedł ze mną i pomógł trochę pańskiego dobra do naszej komory wrzucić — odparł wnuk, patrząc z politowaniem na starca, który według niego nie pojmował, że wtedy było co innego, a teraz co innego.

— Wtedy przyszła do nas bolszewicka bosa armia, dlatego przegrała z polskim wojskiem. Teraz idzie wielka siła naszych ukraińskich braci, dziadku, pod dowództwem nieustraszonej ukraińskiej starszyny. Ot co, dziadku, przestań mnie pouczać — pomachał dziadkowi palcem, jakby mu groził.

Stary Andron nie mogąc przekonać Łukaszk, pokręcił wyłysiałą głową, spojrzawszy starczymi oczami na wnuka i szepnął cichutko sam do siebie: — Co pan to pan, a co muzyk to muzyk.

Podniósł wiosło, wsiadł do czółna i jak każdego dnia wypłynął przed siebie.

*Zofia Grzesiak*